

KATARZYNA MAK



SPOSÓB
NA
SZEFA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci — żyjących obecnie lub w przeszłości — oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Opieka redakcyjna: Barbara Lepionka

Zdjęcie na okładce wykorzystano za zgodą Shutterstock.

Helion S.A.

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <https://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<https://editio.pl/user/opinie/sposze>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-8322-375-9

Copyright © Helion S.A. 2023

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

PROLOG

Wcześniej...

Maksymilian

Nie ożenię się. Nie ma mowy. Nikt mnie do tego nie nakłoni. Ani siostra, która jest mi jak matka, ani żadna z kobiet, dla których niewątpliwie jestem dobrą partią. Nie ma w tym nic osobistego. Po prostu decyzję, by pozostać wiecznym singlem, podjąłem dawno temu.

Jej rozdzierającego serce krzyku nie zapomnę do końca swoich dni. Widoku również...

Po tym, jak lekarz podpisał akt zgonu i zabrali jej męża, padła na kolana, a z jej płuc wyrwał się szloch. Mnie także dławił żal, a po policzkach nie przestawały lynać łzy. Pragnąłem ją pocieszyć, choć sam również potrzebowałem ukojenia. Ale ona zdawała się mnie nie dostrzegać. Bez reszty pogrążyła się w rozpacz i cierpieniu po stracie ukochanego męża.

— Nie jestem tchórzem — burczę, spoglądając we własne odbicie w lustrze. — Próbuję tylko zaoszczędzić sobie cierpienia. Nie chcę skończyć tak jak ona.

Maja

Na pewne sprawy nie mamy wpływu, zwłaszcza na śmierć, która niesie za sobą ogrom bólu i niehumanitarnej wręcz udręki.

Spoglądam na ojca pogrążonego w żałobie i czuję ucisk w klatce. Ledwie panuję nad łzami, ale dla niego staram się być silna.

Zerkam na braci, którzy podtrzymują go po obu stronach, a w moim gardle pojawia się olbrzymia klucha. Obaj, podobnie zresztą jak ja, próbują być dzielni, choć wszyscy dobrze wiemy, że robią to na pokaz. Śmierć matki, na którą w zasadzie powinniśmy być przygotowani, spadła na nas wszystkich tak nagle, tak nieoczekiwanie. I sprawiła, że całe nasze życie naraz legło w gruzach. Już nic nie będzie takie samo...

ROZDZIAŁ 1

Teraz...

Maja

Patrząc przez szybę autobusu na mijane właśnie olbrzymie szklane wieżowce, które w promieniach słońca sprawiają wrażenie błękitnych, myślę o drapaczach chmur na Manhattanie. Co prawda nigdy nie byłam za oceanem — właściwie nie wyściubiałam nosa dalej niż do Zielonej Góry, gdzie studiowałam zaocznie zarządzanie — ale muszę przyznać, że Nowa Warszawa, odkąd ją zobaczyłam po raz pierwszy, od razu skojarzyła mi się właśnie z Nowym Jorkiem, który wielokrotnie widywałam w czasopiśmie czy w internecie. To właśnie wtedy, gdy oglądałam zdjęcia NYC, zastanawiałam się niejednokrotnie, co ludzie widzą w tych wszystkich wielkich miastach. Mnie one zupełnie nie pociągają. Od zgiełku i harmidru zdecydowanie wolę ciszę i naturę. A tych mam pod dostatkiem w moim ukochanym Kalsku.

Wzdycham cichutko, bo nie chcę wzbudzać niepotrzebnego zainteresowania innych pasażerów, którzy, podobnie jak ja, podróżują właśnie warszawską komunikacją miejską. To myśl, że po raz pierwszy na dłużej opuściłam swój rodzinny dom, sprawia, że narastają we mnie te wszystkie obawy i smutek. Nie planowałam tak szybko wyfruwać z gniazda. Po

prostu nie widziałam już innej możliwości. Musiałam pomóc ojcu. Ostatnio coraz gorzej radził sobie z prowadzeniem gospodarstwa, które zamiast zysków zaczynało przynosić same straty. Oczywiście tata nie przyznawał się do kłopotów — jest na to zbyt dumny. Ale ja nie jestem ani głucha, ani ślepa, a już tym bardziej głupia. Szczęściem, beztrioskie lata były już dawno za mną. Jednak na dobre skończyły się w chwili, kiedy odeszła mama. Na myśl o niej znów mimowolnie wzdycham, a do oczu napływają mi łzy, nad którymi jak zwykle staram się zapanować.

„Ciekawe, jak mama odniosłaby się do mojej decyzji dotyczącej życia na własny rachunek” — myślę i ponownie zadzieram głowę, by jeszcze raz przyjrzeć się tym, jak na mój gust, niepasującym do tego miasta budowlom.

Kiedy zdecydowałam się na wyjazd do stolicy, zdawałam sobie sprawę, że będę musiała się zmierzyć z nową rzeczywistością. Nie sądziłam jednak, że ten z pozoru zwyczajny widok, który zresztą już znałam, wzbudzi we mnie aż tak wielki niepokój. Jediną odpowiedzią na dręczące mnie myśli jest to, że w przeszłości, gdy powstawały te wszystkie „wynałazki architektury”, przyjeżdżałam tu w odwiedzin, a nie by zapuszczać korzenie. Naprawdę nie sądziłam, że zacznę nowe życie właśnie tutaj, w miejscu, które zdawało się do mnie nie pasować jak żadne inne. W dzieciństwie Warszawa nie przytłaczała mnie tak bardzo, a już na pewno nie tak jak teraz. Gdy byłam smarkulą, to miasto kojarzyło mi się z zabytkami: Zamkiem Królewskim, Kolumną Zygmunta na placu Zamkowym, Cytadelą czy też Syrenką nad brzegiem Wisły, które byłam w stanie zaakceptować i które na swój sposób mi się podobały. Tymczasem mijane szklane wieżowce uświadomiły

mi, że *tamta* Warszawa to już przeszłość, historia, którą dużo rzadziej niż kiedyś przywołują wspomniane obiekty.

Cóż, chyba czas przyznać, że to miasto, jak każde inne w Polsce, po prostu ewoluowało. Taka już naturalna kolej rzeczy. Wszystko się zmienia, nie tylko ludzie.

Nagle moje myśli zaczynają krążyć wokół Anity. Nie sądziłam, że moja *warszawska przyjaciółka* wraz z upływem lat zmieni się aż tak bardzo. Nie przypuszczałam również, że nasze dotąd bliskie relacje ulegną tak znacznemu *rozluźnieniu*. Tak, to właściwe określenie naszych obecnych stosunków.

Z Anitą poznałyśmy się wiele lat temu na wycieczce integracyjnej. Moja mama była nauczycielką; uczyła muzyki w szkole podstawowej w Kalsku. Miałam góra pięć lat, gdy zabrała mnie do Warszawy, jadąc tam wraz ze swoimi podopiecznymi. Jej uczniowie, zwiedzając stolicę, mieli się lepiej poznać, zaprzyjaźnić, a ja miałam liznąć trochę kultury. Mama uznała, że i mnie nie zaszkodzi zobaczyć tego i owego i pobyć trochę z dziećmi niewiele starszymi ode mnie. A moim zdaniem prawda była zupełnie inna. Mama chciała chyba zaoszczędzić kłopotu ojcu, pod którego opieką miałabym zostać na czas jej służbowego wyjazdu. Tak, byłam straszną rozrabiaką, a kreatywności w wymyślaniu psot mogli mi pozazdrościć nawet moi dwaj starsi bracia, którzy także byli niezłymi gagatkami.

Wracając jednak do Anity i dnia, w którym ją poznałam...

Podczas gdy klasa mamy zwiedzała komnaty Zamku Królewskiego, ja wpadłam na Anitę na jednym z jego korytarzy. Wstyd się przyznać, ale nie posłuchałam mamy, która kazała mi się trzymać blisko grupy i... zgubiłam się.

Wiedziona wrodzoną ciekawością świata odeszłam tylko na moment, choć obiecałam się nie oddalać, potem jednak w żaden sposób nie potrafiłam odnaleźć grupy. Widok dziecka, które zdawało się być mniej więcej w tym samym wieku co ja, uspokoił mnie nieco. W zasadzie nie wiem, co sobie wówczas pomyślałam, ale chyba ulżyło mi, że nie ja jedna nie posłuchałam rady mamy, przez co się zgubiłam.

— Przepraszam — zagadnęłam nieśmiało, a kiedy dziewczynka o rudej czuprynie spojrzała na mnie, unosząc w zaciekawieniu brew, dodałam już bardziej zdecydowanym głosem: — Ty też się zgubiłaś?

W odpowiedzi pokręciła głową i uśmiechnęła się. Już otwierała buzię, żeby mi coś odpowiedzieć, ale ubiegłam ją. Cóż, od dziecka mówiłam dużo i szybko. Właściwie tak mi zostało do dziś.

— Tak czy siak, obie będziemy miały przechlapane — skwitowałam, mrugając do niej, gdyż byłam tego absolutnie pewna. Oprócz nas dwóch nie widziałam tu bowiem żadnych dzieci samotnie błąkających się po korytarzach.

— Skoro tak mówisz — odparła wówczas mała nieznajoma, wzruszając ramionami.

Postanowiłam nie analizować jej słów, zwłaszcza że dziewczynka pociągnęła mnie za rękę, po czym natychmiast poprowadziła w głąb korytarza. Kiedy jednak po chwili moim oczom ukazała się szatnia, zupełnie zbaraniałam.

— Nie możemy stąd wyjść! — zaprotestowałam, stając w miejscu jak wryta. — A już na pewno nie teraz — dodałam z przekonaniem, gdyż obudziły się we mnie resztki zdrowego rozsądku.

— *Strasznie dużo gadasz — usłyszałam w odpowiedzi, a zaraz potem do moich uszu dotarł kobiecy głos dobiegający z szatni:*

— *Kolejna zguba?*

— *Tak, mamó — westchnęła towarzysząca mi dziewczynka.*

Powoli wszystko stawało się jasne. Wzięłam ją za jedno z dzieci zwiedzających zamek, a tymczasem okazała się córką zamkowej szatniarki.

— *Zaproś więc koleżankę do środka — usłyszałam stanowcze polecenie. — Masz ochotę na herbatkę, kochanie? — zapytała kobieta słodkim głosem, po czym szybko dodała: — A może jesteś głodna?*

Szatniarka ani trochę nie przypominała mi mojej mamy — miała rude włosy, takie same jak jej córka — niemniej zupełnie jak moja własna mama postanowiła się mną natychmiast należycie zaopiekować. Cóż, pewnie wszystkie matki są takie.

— *Nie, nie jestem — szepnęłam nieśmiało. — Ale dziękuję — dodałam, robiąc minę niewiniątka.*

— *Niczego się nie bój, kochanie. Na pewno już niebawem ktoś zacznie cię szukać. Nawet się nie obejrzysz, a opiekun twojej grupy przyjdzie tutaj i...*

Nie słuchałam jej dłużej, bo nie chciałam sobie wyobrazić surowej miny mojej mamy — byłam przekonana, że wkrótce się po mnie zjawi. Spojrzałam jedynie na córkę szatniarki, która mnie obserwowała i uśmiechała się pod nosem.

— *Mam na imię Maja — odezwałam się mimochodem, bo kobieta nie przestawała mówić, i wyciągnęłam rękę w kierunku dziewczynki.*

Do wtedy sądziłam, podobnie jak wiele innych osób, że to właśnie ja jestem największą pleciugą, a jednak okazało się, że jest ktoś, kto papla więcej ode mnie. Rodzice, odkąd pamiętałam, stale powtarzali, że jestem okropną gadułą, nazywając mnie z przekorą Hanką Bielicką. Będąc pięciolatką, nie wiedziałam, kim jest owa dama, ale po latach odkryłam, że z pewnością nie przyrównywali mnie do niej z powodu kapeluszy, które nosiła, a z racji gadulstwa, które ewidentnie było naszą wspólną cechą.

— Anita — odparła moja nowa znajoma, zaciskając pewnie palce na mojej dłoni i potrząsając nią energicznie.

Uśmiecham się do tego wspomnienia, choć robi mi się ciężko na sercu. Tamta Anita była bowiem naprawdę uroczą dziewczynką z sercem na dłoni. Ta obecna zupełnie jej nie przypomina i mocno odstaje od wizerunku najlepszej przyjaciółki, za którą uważałam ją przez te wszystkie lata.

Z powodu rozmyślań o przeszłości omal nie przegapiłam przystanku. W ostatniej chwili podrywam się z miejsca i przez powoli zamykające się drzwi autobusu wyskakuję na chodnik. Widzę niezadowolone spojrzenie kierowcy, na co robię przeproszającą minę. Poprawiam beret, który nieznacznie poderwał mi wiatr, i odruchowo przyciskam do siebie torebkę. Mama zawsze powtarzała mi, że w mieście, szczególnie tak wielkim jak Warszawa, należy na nią uważać. „Kieszonkowcy nie śpią, a kobiety, zwłaszcza turystki, są dla nich idealnym celem” — mawiała często.

Zerkam na otaczające mnie budynki, by po raz kolejny stwierdzić, że ten „Manhattan” jakoś mi do tej *mojej* Warszawy sprzed lat nie pasuje. Szklane budynki sprawiają wrażenie, jakby wyrosły nagle pośród starych, urokliwych

kamienic tylko po to, by stłamsić ich naturalne piękno swoim niewątpliwym blaskiem i blichтром. W moim odczuciu podczas tworzenia planów i projektów tej części miasta musiała architektów mocno ponieść wyobraźnia.

Porzucam tę myśl i ruszam żwawym krokiem w stronę biurowca o nazwie Rondo 1, który, tak jak podejrzewałam, znajduje się nieopodal popularnego w Warszawie ronda ONZ. Muszę jeszcze tylko przebrnąć przez skrzyżowanie, żeby znaleźć się po drugiej stronie ulicy, a stamtąd mam już zaledwie kilka kroków do miejsca docelowego. Do spotkania, na które jestem umówiona, został mi raptem kwadrans, więc wolę się pospieszyć. Nie znoszę spóźniałstwa, dlatego ostatnie, czego bym sobie życzyła, to spóźnić się na to jakże ważne dla mnie spotkanie w sprawie pracy. Nie chciałabym wyrzucić na przyszłym szefie — szczerze liczę, że zdobędę tę posadę — złego pierwszego wrażenia. Oczywiście nadal nie jestem przekonana, czy postępuję właściwie, aplikując na to stanowisko, ale chyba nie mam wyjścia. Anita postawiła mnie pod ścianą. Z dnia na dzień poinformowała mnie, że mogę zostać u niej jeszcze tydzień, a potem muszę sobie coś znaleźć. Problem w tym, że nie mam pieniędzy, żeby coś wynająć.

Ech, życie...

Kiedy wreszcie docieram pod właściwy adres, przystaję na moment. Muszę wyrównać oddech i uspokoić szalejące tętno, które poszybowało pod wpływem przyspieszonego marszu. Korzystając z krótkiego postoju, zadzieram głowę i spoglądam na rozciągający się nade mną budynek. Ten szklany wieżowiec, tak jak i reszta tych nowoczesnych budowli, budzi we mnie mieszane uczucia.

Wzdycham, opuszczam głowę i już zmierzam do wejścia. Nagle omal nie zostaję potrącona przez nadjeżdżający samochód. Natychmiast przytomnieję i w ostatniej chwili odskakuję, ryzykując upadek. Cudem go unikam.

Z niedowierzeniem patrzę w ślad za oddalającym się pojazdem. W bocznym lusterku dostrzegam drwiący uśmieszek znajdującego się w środku mężczyzny.

— Idiota! — wrzeszczę, choć nie sędzę, że kierowca siedzący za przyciemnianymi szybami tej wypasionej fury mnie usłyszał. Wygląda na to, że w ogóle nie przejął się całym zajściem. A ja? Nie byłabym sobą, gdybym nie zareagowała.

Dając upust swojemu niezadowoleniu, klnę pod nosem i zanim auto znika za rogiem, wystawiam temu nierozważnemu typkowi środkowy palec. Szczerze liczę, że go zauważył. Takim jak on powinno się odbierać prawo jazdy!

Zbieram się w sobie, choć jest to niezwykle trudne, bo emocje zdążyły sięgnąć zenitu. Niemniej muszę się opanować, bo czeka mnie rozmowa w sprawie pracy, na którą — jeśli szybko nie wezmę się w garść — nie zdążę. Prostuję plecy, ponownie poprawiam beret oraz okulary, które odrobinę zsunęły mi się z nosa, a potem zmierzam do wejścia. Już od progu zwracam na siebie uwagę jednego z ochroniarzy. To starszy mężczyzna, trochę przypominający mi niezującego już dziadka od strony taty. Uśmiecha się na mój widok, czym wzbudza moje zaufanie. Podchodzę więc do niego i pytam, jak dostanę się do biura firmy „Dusza wina”, gdzie jestem umówiona na spotkanie o pracę.

— Biuro pana prezesa Iwańskiego znajduje się na trzydziestym piątym piętrze.

— Na trzydziestym piątym? — powtarzam, jednocześnie rozglądając się za jakąś windą, bo czas do spotkania kurczy mi się nieubłaganie. Patrzący na mnie z lekkim uśmiechem mężczyzna potakuje głową.

— Proszę skorzystać z jednej z wind — dorzuca jeszcze i od razu wskazuje mi do nich drogę.

Dziękuję w przelocie i już pędzę w tamtym kierunku. Na moje oko jest ich dużo, może nawet kilkanaście — nie ma czasu, żeby je teraz zliczać. Poza tym drzwi jednej z nich właśnie się zasuwają, liczę więc, że zdążę do niej wejść, zanim zamkną się na dobre. Oczywiście, jeśli nie zdołam się dosiąść — przez powstałą w drzwiach szczelinę zauważyłam, że ktoś jest w środku — pozostanie mi przywołać kolejną. Jednak gdy powoli zaczyna do mnie docierać, że jestem spóźniona, uznaję, że liczy się każda minuta, i próbuję dać znać osobie znajdującej się wewnątrz, żeby na mnie zaczekała. Niestety szybko się okazuje, że moje szanse na wejście do tej choleralnej windy są znikome, bo przebywający w niej facet albo mnie nie zauważa, albo po prostu nie jest tak uprzejmy, by zechcieć na mnie zaczekać. Nie poddaję się mimo wszystko i próbuję do samego końca. Ale gdy dobiegam na tyle blisko, by wsunąć dłoń pomiędzy zamykające się drzwi, w uśmiechającym się cynicznie mężczyźnie rozpoznaję typa z samochodu, który omal nie rozjechał mnie przed budynkiem. I to właśnie skutecznie powstrzymuje mnie przed wejściem do środka. Przed pokazaniem języka niestety nie.

Kwadrans wcześniej...

Maksymilian

Nie znoszę kobiet, które nie rozumieją, co do nich mówię. Wyraziłem się jasno: ma opuścić moje mieszkanie, zanim wyjdę spod prysznica. Tymczasem ta dziewczyna, odziana jedynie w moją koszulę, paraduje po mojej kuchni. Pichci coś, choć nie zapraszałem jej na wspólne śniadanie.

— Jesteś głodny? — pyta, kiedy mnie wreszcie zauważa.

— Tylko zły — odpowiadam, choć mój głos zupełnie tego nie zdradza.

— A więc i głodny — rzuca przez ramię, a potem otwiera jedną z szafek, pochyla się, eksponując swoje wdzięki, i wyjmuję z niej patelnię.

Swoją drogą zachowuje się tak swobodnie, jakby tu była już wcześniej, ale ja nie przypominam sobie, żebym ją zapraszał. Nawet nie znam jej imienia, więc mało prawdopodobne, abym ją tu kiedyś zabrał. A zatem to pierwszy, choć zarazem ostatni raz — to akurat pewne.

— Jeśli już naprawdę musisz coś zjeść, to zrób to, byle szybko — mówię, wycofując się w stronę holu. — Pospiesz się — podkreślam ponownie — a potem wyjdź, zanim zjawi się tu moja sprzątaczką.

Dziewczyna odstawia na blat kuchennej wyspy patelnię i spogląda na mnie w sposób, który świadczy, że niczego nie rozumie. Wyjaśniam więc najprościej jak się da:

— Pani Gertruda nie przywykła do widoków kobiet w tym domu, dlatego mogłaby cię wziąć za intruza.

— Żartujesz? — pyta, przyglądając mi się z niedowierzaniem.

Oczywiście, że żartowałem, ale nie zamierzałem jej wyprowadzać z błędu. Ten stary jak świat numer od dawna stosowałem na innych laskach, które po jednej namiętnej nocy próbowały zapuścić korzenie w moim mieszkaniu. I ku mojemu ogromnemu zadowoleniu zawsze przynosił taki sam skutek.

— Niestety nie. Dziewczyna, która ostatnim razem nie posłuchała i rozgościła się na dłużej, wyłądownała na dołku. Zwolniono ją późnym wieczorem, jak po pracy osobiście zjawiłem się na komisariacie i poświadczyłem, że była moim gościem — ciągnę tę farsę, siląc się na beztroski ton. — Co robisz? — pytam naraz, gdy widzę, że długonoga platynowa blondynka szybkim krokiem zmierza w stronę strefy wypoczynkowej, gdzie na jednej z kanap leży część jej garderoby. Reszta spoczywa na podłodze, tuż obok skórzanej sofy.

— Jakoś nagle straciłam apetyt — odpowiada, a następnie w mig pozbywa się mojej koszuli, którą, podobnie jak szpilki czy niewiele zasłaniającą sukienkę, rzuca na podłogę.

„Bałaganiara. Nieładnie” — karczę ją w myślach.

Muszę jednak przyznać, że na widok jej wypiętych, nagich, cholernie kuszących pośladków znów mi stanął. Gdybym miał jeszcze chwilę, wziąłbym ją ponownie, choć uprawiałem z nią seks przez większą część długiej nocy. Niestety byłem już spóźniony. Miałem spotkanie służbowe. Liczyłem, że tym razem będzie ono bardziej owocne niż poprzednio. Moja firma naprawdę potrzebowała wykwalifikowanego enologa, a nie osoby, której się tylko zdawało, że zna się na produkcji win.

Uśmiecham się głupkowato, kiedy wreszcie wsiadam do swojej wypasionej bryki. Oczywiście zaproponowałem tej dziewczynie podwózkę — zasłużyła, bo dobrze spisała się w nocy — ale, prawdopodobnie zniechęcona moją krótką, zmyśloną naprędce opowieścią, odmówiła.

Wyjeżdżam z podziemnego parkingu i z piskiem opon ruszam dobrze mi znaną, codziennie pokonywaną trasą. Do pracy mam całkiem blisko, więc równie dobrze mógłbym chodzić do biura piechotą. Jednak uważam, że mnie, samemu prezesowi, jakoś nie wypada. Jeszcze któryś z moich pracowników wywnioskowałby, że jestem sknerą. A przecież nie jestem i nigdy nie byłem dusigroszem. Poza tym od lat dbam o odpowiedni, wypracowany przez samego siebie wizerunek idealnego szefa.

Żeby dojechać na miejsce, potrzebuję dosłownie paru, w porywach dziesięciu minut. Przejazd byłby znacznie krótszy, gdyby nie fakt, że Warszawa o tej godzinie jest mocno zakorkowana. Każdy gdzieś się spieszy, a większość jest niestety zmotoryzowana. Jedni jadą do pracy, inni zawożą dzieci do szkół czy przedszkoli. A jeszcze inni pędzą Bóg wie gdzie na rowerach lub, ostatnio bardzo popularnych, elektrycznych hulajnogach. Tak, w stolicy ich nie brakuje i właśnie na nie trzeba szczególnie uważać. Pojawiają się nagle, jakby znikąd, w dodatku w miejscach, w których nie spodziewasz się na nie natknąć. Są bardzo ekonomiczne i nie zanieczyszczają środowiska, ale nieoczekiwane zetknięcie z tym modnym pojazdem naprawdę może okazać się nieco... kłopotliwe. I niebezpieczne. Dla obu stron.

— Życie ci niemiłe, do cholery?! — wrzeszczę, wduszając hamulec, kiedy prawie potraćam jakąś dziewczynę. Co prawda ta nie porusza się hulajnogą, o której właśnie gorączkowo rozmyślałem, ale przez własną nieuwagę o mały włos nie ląduję na masce mojego samochodu.

Wydaje się, że mnie nie słyszy, ale kiedy wreszcie raczy odwrócić głowę i spojrzeć na samochód, w jej oczach, które odrobinę zasłaniają czerwone oprawki zsuniętych na nos okularów, maluje się strach. I dobrze! Powinna bardziej uważać, a nie pchać się wprost pod koła.

Przyglądam się jej uważnie. Chcę się tylko upewnić, czy jest cała, ale taksuję ją wnikliwiej swoim wzrokiem, bo przesadnie zwraca na siebie uwagę. Ubrana w zielony, rozkloszowany płaszcz, w czerwonych szpilkach na stopach i w berecie w tym samym kolorze, który, podobnie jak okulary, przekrzywił się jej odrobinę, naprawdę mocno rzuca się w oczy. Wygląda dziwacznie, ale nagle przelatuje mi przez głowę, że może właśnie dzięki temu udało mi się jej nie rozjechać jak żaby.

To do mnie niepodobne, ale moja złość zdaje się lekko słabnąć, choć w zasadzie powinienem opuścić szybę i zwymyślać ją, zanim komuś innemu wejdzie pod koła rozpędzonego auta. Kręcę jedynie głową i zręcznie ją omijam. Spieszę się.

Gdy odjeżdżam, zerkam jeszcze w lusterko, by upewnić się kolejny raz, czy jest cała. Nie mogę się powstrzymać i uśmiecham się z niedowierzaniem, widząc jej minę. Wydaje się na mnie wściekła. Też mi coś! W dodatku zauważam, jak wykrzykuje coś w ślad za mną, czemu zwyczajnie nie daję wiary. Ależ ma tupet! Do tego, zanim odjadę, pozdrawia

mnie digitusem mediusem, potocznie zwanym środkowym palcem. To mi się nie mieści w głowie!

Gdybym miał tylko więcej czasu, pokazałbym jej, z kim zadarła i jak traktuję takie jak ona.

Błyskawicznie znikam za rogiem i wjeżdżam na parking. Potem równie szybko opuszczam auto i przechodzę przez wejście dla personelu, za którym znajdują się windy. W całym tym zamieszaniu dopisuje mi szczęście, bo nie muszę długo czekać — jedna z nich właśnie nadjeżdża. Naciskam przycisk, drzwi rozsuwają się, a ja natychmiast wchodzę do środka. Kiedy powoli zaczynają się zamykać, zauważam ruch w korytarzu. Odruchowo chcę wcisnąć przycisk, który ponownie je otworzy, ale gdy dociera do mnie, kim jest zmierzająca w moją stronę dziewczyna, powstrzymuję się przed tym zamiarem i zamiast na nią poczekać, triumfalnie się do niej uśmiecham. Niedowierzenie i szok wypisane na jej twarzy to dla niej widocznie za mało, bo zanim drzwi zasuną się na dobre, zauważam, jak wystawia mi język. Nie powiem, tym razem przeszła samą siebie.

Ostatni raz coś podobnego widziałem chyba w przedszkolu, konkretnie w piaskownicy, do której zabrała nas opiekunka. Jednej z koleżanek — nie pamiętam już jej imienia — odebrałem wówczas podstępem foremkę do robienia babek z piasku. W odpowiedzi dziewczynka pokazała mi język. Zupełnie jak teraz ta zuchwała dziewczucha.

Kręcę z niedowierzaniem głową, a następnie, gdy tylko winda zatrzymuje się na właściwym piętrze, wysiadam. Naprawdę się spieszę. Jestem umówiony na spotkanie z potencjalnym enologiem. Podchodzę do tematu dość sceptycznie, bo ostatni kandydat okazał się mało profesjonalny, ale raczej

nie mam wyjścia i muszę dalej próbować kogoś znaleźć. Żeby ciągle się rozwijać, potrzebujemy specjalisty.

Nie chcę się zatem spóźnić. Poza profesjonalizmem mocno cenię sobie punktualność, więc wypada świecić przykładem. Od współpracowników oczekuję tego samego. Nie znoszę spóźniałstwa.

— Dzień dobry, panie prezesie — dochodzi mnie zza kon-
tuaru głos mojej sekretarki, Roksany.

Odpowiadam jedynie skinieniem głowy i ruszam do swo-
jego gabinetu.

— Mam przynieść kawę? — pyta jeszcze, kiedy przekra-
czam jego próg.

— Tak. Dwie — odpowiadam.

Może wyprzedzam fakty, ale liczę, że mój potencjalny
nowy pracownik wkrótce się zjawi.

— Oczywiście. Już się robi.

ROZDZIAŁ 2.

Maja

Przeklinam pod nosem, czekając na kolejną windę. W zasadzie już nie czuję złości na tego bezczelnego typa, który najpierw omal mnie nie potracił, a potem nie poczekał na mnie, kiedy byłam już spóźniona. Jedyne utyskuję na pecha, który mnie dzisiaj nie opuszcza. Nie wiem, co jeszcze może mi się przytrafić, ale przyznaję, że dawno nie spotkało mnie coś takiego. W dodatku lawina następujących po sobie feralnych zdarzeń tylko mi uzmysławia, że nie pasuję do tego miejsca. Odkąd przyjechałam do Warszawy, czuję się tu strasznie obco. A ludzie pokroju tego nadętego dupka, który w tak krótkim czasie dwukrotnie zagrał mi na nosie, tylko utwierdzają mnie w przekonaniu, że nie jest to miejsce dla dziewczyny takiej jak ja. Nie pasuję tu.

Chwilowo jednak nie mam wyjścia i wiem, że powinnam się jakoś dopasować — przynajmniej wypada mi spróbować to zrobić. Muszę się tylko bardziej postarać, by przeżyć kolejny dzień w tej... dżungli. Nie robię tego jednak przez wzgląd na siebie, a na ojca. Dla niego jestem gotowa na każde poświęcenie.

Wreszcie nadjeżdża wyczekiwana przeze mnie winda. Od razu wchodzę do środka i wduszam numer trzydzieści pięć. Mam nadzieję, że szybko będę na miejscu, bo przez

pewnego niewychowanego typka jak nic mogę nie zdążyć na czas, choć robiłam wszystko, by do tego nie dopuścić. Na wspomnienie tego faceta kręcę z niesmakiem głową. Wciąż nie mogę uwierzyć, że tak nieładnie się wobec mnie zachował. I to nie raz zresztą. Nie znoszę ludzi, którzy uważają się za lepszych, a ten z pewnością miał się za pępek świata. Świadczyła o tym choćby jego cwaniacka mina. Była strasznie irytująca.

Mam nadzieję, że już nigdy na niego nie wpadnę, bo naprawdę nie wiem, co mogłabym mu powiedzieć.

Kiedy dojeżdżam na górę, zerkam jeszcze na swoje lustrzane odbicie. Z emocji mam zaróżowione policzki. Przed wyjściem ponownie poprawiam okulary, a gdy drzwi się rozsuwają, wreszcie opuszczam windę. Rozglądam się niepewnie, a zaraz potem ruszam w stronę szklanych, mlecznych drzwi, za którymi — przynajmniej mam taką nadzieję — znajduje się „Dusza wina”. Liczę, że wszystko dobrze zrozumiałam i że się nie pomyliłam, gdyż kolejne poszukiwania mogłyby mnie kosztować następnych kilka minut spóźnienia, na co nie mogę sobie pozwolić. Przy okazji mam też nadzieję, że to lekkie potknięcie zostanie mi wybaczone i już na starcie nie zostanę skreślona z listy potencjalnych pracowników, bo naprawdę potrzebuję tej pracy.

— Pani Maja Sokołowska? — pada pytanie zza kontuaru.

Wzdrygam się lekko, bo dopiero teraz zauważam siedzącą tam młodą dziewczynę. W odpowiedzi kiwam głową i uśmiecham się niepewnie do, jak przypuszczam, sekretarki niejakiego pana Iwańskiego.

— Pan prezes czeka na panią w swoim gabinecie — mówi dziewczyna i wskazuje na drzwi znajdujące się na

końcu olbrzymiej sali zastawionej biurkami, obrotowymi krzesłami oraz kilkoma kanapami ustawionymi pod wielkimi oknami.

Ruszam więc we wskazane mi miejsce. Po drodze rozglądam się dyskretnie i zauważam kilka innych młodych kobiet, które wyraźnie skupiają się na swoich zajęciach. Jedne klikają coś w laptopach, inne coś tam notują, za to wszystkie zgodnie zdają się zupełnie nie zwracać na mnie uwagi. A może tylko udają, że mnie nie widzą? Teraz jednak nie czas na to, żeby się nad tym zastanawiać.

— Proszę zaczekać! — słyszę za sobą, więc zatrzymuję się w pół drogi. — Płaszcz poproszę — wyjaśnia nagle sekretarka i wystawia rękę po moje okrycie.

— Ach tak — odpowiadam zakłopotana, po czym szybko rozwiązuję pasek, zdejmuję płaszcz i oddaję go patrzącej na mnie z pobłażliwym uśmiechem dziewczynie. Nie bardzo wiem, o co jej jeszcze chodzi, ale nie mija chwila, a doznaję olśnienia. Beret!

„No tak” — myślę i szybko zdejmuję go z głowy. Próbuję jeszcze przygładzić włosy, bo przecież chcę wypaść jak najlepiej. To jednak okazuje się dość trudne, bo włosy zaczynają mi się elektryzować. Szlag!

— Powodzenia — pada z ust sekretarki, a ja w podziękowaniu kiwam niepewnie głową.

Bez dwóch zdań będzie mi potrzebne, zwłaszcza że spóźniłam się równe pięć minut — stwierdzam to, spoglądając ukradkiem na wiszący na ścianie zegar.

Przez wejście pukam jeszcze lekko w zamknięte drzwi. Usłyszawszy zaproszenie, naciskam klamkę i wchodzę do środka. To, co zobaczyłam, całkowicie mnie zaskoczyło. Pod

oknem, za biurkiem siedzi typ, który dopiero co dał mi się we znaki i przez którego spóźniłam się na spotkanie... z nim. Szlag!

Przez moment odnoszę wrażenie, że nie jestem w stanie zrobić choćby jednego kroku w przód. Rzadko mi się to zdarza, ale w jednej chwili замуrowało mnie.

— To ty... — wrywa mi się, a na jego ustach wykwita ten sam złośliwy uśmiezek, który zdążyłam poznać już wcześniej.

— Zapraszam — słyszę w odpowiedzi, a kiedy nie reaguję, mężczyzna wstaje, zapina guzik w marynarce i rusza w moim kierunku.

Wstrzymuję oddech i przymrużam oczy. Właściwie nie wiem, dlaczego wciąż stoję w miejscu. Rozum podpowiada mi, że powinnam przeprosić i zwyczajnie stąd odejść. Ale coś nie pozwala mi tego zrobić. Prawdopodobnie to moja wrodzona przekora sprawia, że nie jestem w stanie zawrócić, ale pewnie to także chęć przetrwania.

Kiedy facet mnie mija i zamyka za mną drzwi, schodzę na ziemię. Pomimo że rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy, dociera do mnie, że praca tutaj to raczej pomyłka.

— Przepraszam — wydobywam z siebie cichy, niepewny głos. — To chyba jednak nie jest najlepszy pomysł — dodaję, widząc, jak mężczyzna w eleganckim garniturze staje na wprost mnie, unosi brew i przygląda mi się z zaciekawieniem.

— Nie rozumiem.

Nie wiem, co nim kieruje, ale ciągnie mnie za język, ja zaś zupełnie tracę ochotę na tę rozmowę, bo przecież finał tego spotkania może być tylko jeden. Po tym, co zaszło na dole... Ech.

— Nie powinnam tu przychodzić.

— Mówisz poważnie? — pyta, przewiercając mnie spojrzeniem.

Mimo że z reguły bywam wygadana, nagle nie jestem w stanie wydusić z siebie choćby słowa, więc jedynie kiwam głową.

— Uważaj! — słyszę naraz, czego zupełnie nie pojmuję.

Wszystko staje się jasne, kiedy chwyta mnie za ramiona i przesuwa na bok. To wtedy odkrywam, że do gabinetu weszła właśnie jego sekretarka. Trzyma w rękach tacę, jak nietrudno się domyślić, z gorącą kawą. Widocznie nie usłyszałam, jak wchodziła, przez co omal mnie nie poparzyła.

— Przepraszam — mówi, po czym uśmiecha się do mnie pobłażliwie i stawia tacę na biurku prezesa. — Przyniosłam kawę. Tak jak pan prosił.

To mi daje okazję, żeby odsunąć się od mężczyzny, który jednak jeszcze przez chwilę mnie przytrzymuje. Czuję się wyjątkowo niezręcznie.

Zerkam w ślad za opuszczającą gabinet sekretarką. Sama mam ochotę pobiec za nią i uciec jak najdalej stąd, ale kiedy odwracam głowę i widzę zaciekawione spojrzenie jej szefa, biorę się w garść. Przecież nie czeka mnie ścięcie, tylko zwykła rozmowa.

— Zapraszam — mówi, wskazując na jeden z obrotowych foteli.

Oczywiście spełniam jego prośbę. Łykam głośno ślinę i zajmuję miejsce na wprost jego biurka. Chcę to mieć wreszcie za sobą. A potem...

— Nie bój się mnie — słyszę naraz tuż koło ucha, kiedy podsuwając mi fotel, pochyla się nade mną.

Podskakuję jak oparzona. Zaskoczył mnie. Nie przypuszczałam, że stać go na taki gest.

— Nie gryzę — dodaje po chwili, a ja wstrzymuję oddech.

Nie wiem, co się ze mną dzieje, ale nagle odkrywam, że nie panuję nad drżeniem własnych kończyn. To z powodu stresującej sytuacji, jestem tego pewna.

Mimo ogromnego napięcia, jakie czuję w tej jednej chwili, zadzieram głowę i spoglądam odważnie w oczy stojącemu nade mną mężczyźnie. Musi wiedzieć, że nie ma przed sobą głupiutkiej panienki, naiwnego dzieciaka, a pewną siebie, odważną młodą kobietę. Powinien zrozumieć, że to tylko sytuacja nieco mnie przerosła, co czasem przytrafia się każdemu, czyż nie?

— Jesteś zawodową enolożką? — pyta, wreszcie odsuwając się na bezpieczną odległość i zajmując miejsce po drugiej stronie biurka.

Początkowo zupełnie nie wiem, jak mam się odnieść do postawionego mi pytania, bo kompletnie nie mam pojęcia, o czym on do mnie mówi. Tego, czym właściwie zajmuje się enolog — choć określenia takie jak kiper czy sommelier nie są mi obce — mogę więc się tylko domyślać.

— Pytałem, czy masz doświadczenie w przemyśle winiarskim — doprecyzowuje.

I naraz wszystko staje się jasne, chociaż nadal nie wiem, co właściwie mam powiedzieć wpatrującemu się we mnie mężczyźnie. Może prawdę? To chyba także nie jest najlepszy pomysł. Obawiam się, że Iwański tego nie zrozumie.

— W twoim CV nie ma rekomendacji od innego pracodawcy, ale jak sądzę, pracowałaś już kiedyś na stanowisku enologa?

Uparcie milczę, choć siedzący na wprost mnie facet wyraźnie dopomina się odpowiedzi. Sprawia wrażenie zniecierpliwionego, a ja nadal nie wiem, co mam mu odrzec. Wydawało mi się bowiem, że jestem dobrze przygotowana do tej rozmowy, że mam w zanadrzu kilka mocnych argumentów, dzięki którym zdobędę tę posesję, aż tu nagle zdałam sobie sprawę, że to nieprawda.

— Brakuje ci doświadczenia? — spekuluje, obracając w palcach długopis i pstrykając nim kilkakrotnie, co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że jego cierpliwość się wyczerpuje. — Ale jesteś szeroko pojętą znawczynią win. — Tym razem już nie pyta, a, zdaje się, sam podsuwa mi odpowiedź, którą niewątpliwie chce usłyszeć.

No tak, mogłam się spodziewać, że Iwański poruszy tę kwestię. Ale niestety nie przewidziałam tego. Dałam się omamić Anicie, która mnie zapewniała, że TA rozmowa przebiegnie naprawdę gładko.

W tej jednej chwili zaczynam się zastanawiać, czy może byłam zbyt naiwna, łudząc się, że sam prezes o to nie zapyta, czy może tylko nad wyraz głupia, skoro sądziłam, że ta rozmowa przebiegnie inaczej.

Bezglęśnie przeklinam Anitę. Naprawdę nie mogę sobie darować, że dałam się jej namówić na cały ten cyrk. Wspomniałam jej o swoich wątpliwościach, ale oczywiście była innego zdania i uważała, że lekkie nagięcie prawdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło. To nikt inny, tylko ona dopisała do mojego CV, że znam się na winiarstwie.

O wilku mowa. W mojej torebce zaczyna wibrować telefon. Jestem niemalże pewna, że to właśnie Anita próbuje się

do mnie dodzwonić. Naprawdę aż tak bardzo jej zależy, żeby się mnie jak najprędzej pozbyć?

— Przepraszam — mówię, wyjmując telefon.

Niestety zapomniałam go wyciszyć, co właśnie nieudolnie próbuję zrobić. Jednak ręce trzęsą mi się tak bardzo, że nie jestem w stanie wykonać nawet tak prostej czynności. Na szczęście Anita odpuszcza, więc z powrotem chowam telefon do torby i z zakłopotaniem spoglądam na Iwańskiego. Jest strasznie poważny i przygląda mi się z rozmysłem. W dodatku wciąż bawi się tym cholernym długopisem. Wygląda na coraz bardziej rozdrażnionego.

— Dlaczego nie odebrałaś? — pyta oschłym głosem.

— To może poczekać — bąkam jedynie i zakładam pasmo włosów za ucho, co nie umyka jego uwadze. Zawsze tak robię, ilekroć się denerwuję, choć on mógł to odebrać inaczej, w jakiś bardziej pokręcony sposób. Zresztą świadczy o tym jego nieodgadniona mina.

— Jak długo jesteś enolożką? — wraca do tematu.

Już otwieram usta, żeby mu wyjaśnić, że doszło do fatalnego nieporozumienia, lecz mój telefon znów zaczyna dzwonić.

Zduszam ciche przekleństwo i zaczynam poszukiwania komórki, która, zdaje się, zsunęła się gdzieś głębiej, bo za żadne skarby nie mogę jej znaleźć.

— Bardzo przepraszam — jęczę, czując, jak na moje policzki występują nieproszone rumieńce. — Moja przyjaciółka bywa...

— Odbierz wreszcie ten telefon — warczy Iwański.

Maksymilian

— Nie mogę teraz rozmawiać, Anita. Jestem na spotkaniu w sprawie pracy — rzuca naprędcę do słuchawki i się rozłącza.

Przyglądam się siedzącej na wprost mnie dziewczynie i lekko pocieram szczękę. Zadaję sobie pytanie, dlaczego jeszcze tego nie przerwałem. Przecież nie znoszę *takich* ludzi.

— Przepraszam — odzywa się ponownie, zerkając na mnie niepewnie. — Moja przyjaciółka czasem jest trochę...

— Trochę? — pytam z niedowierzaniem. — Moim skromnym zdaniem — stwierdzam wyraźnie zirytowany — twoja koleżanka jest bardzo nachalna, skoro stale do ciebie wydzwania, pomimo że nie odbierasz. A to jedna z cech, których bardzo nie lubię. A ty...

— Co ja? — wchodzi mi w słowo, czego z reguły także nie toleruję. Przełamuję się jednak; ten jeden raz postanawiam zrobić wyjątek i udawać, że tego nie dostrzegam.

— Ty też jesteś nachalna?

— Raczej uparta — odpowiada, posyłając mi nerwowy uśmiech.

Zaskakuje mnie jej szczerłość, zwłaszcza że rzadko mięsam do czynienia z osobami jej pokroju. Ludzie, z którymi obcuje na co dzień, mówią jedynie to, co chcę usłyszeć. Ona wydaje się szczerą, nawet pomimo ceny, jaką być może przyjdzie jej za to zapłacić.

— Chyba się pomyliłam — odzywa się nagle, czym mnie ponownie zaskakuje.

— Nie rozumiem.

— Zaczynam żałować, że tu przyszedłam — dodaje, rzucając wymowne spojrzenie na swoje CV leżące na moim biurku, a następnie wstaje z krzesła.

— Możesz jaśniej? — Ja także się podnoszę.

— Wiem, że to marne wytłumaczenie — bąka pod nosem, jednocześnie unikając mojego wzroku. — Ale to moja przyjaciółka namówiła mnie, żebym aplikowała na to stanowisko. Nie powinnam była jej słuchać.

Nie rozumiem wymowy jej słów. W ogóle JEJ nie rozumiem. Szczególnie jej zachowania. Sprawia wrażenie niezdecydowanej, co kłóci się z wizerunkiem, jaki zdażyła przede mną zaprezentować, choćby podczas spotkania przy windzie. Wtedy wcale nie wyglądała na zagubioną i przestraszoną. Wręcz przeciwnie. Była zadziorna i bezczelna.

— O czym ty, do cholery, mówisz? — pytam wprost, nawet nie kryjąc rozdrażnienia, nad którym ledwie panuję, bo naprawdę zaczyna mnie męczyć ta cała dziwna sytuacja.

— Ja po prostu...

Nie wierzę w to, co się dzieje. Ten jej pieprzony telefon znów zaczyna dzwonić, co powoli doprowadza mnie do... szewskiej pasji. Nie znoszę braku profesjonalizmu, a zwłaszcza ignorancji. Tak, ta niewychowana dziewczyna, która teraz tylko udaje przede mną ułożoną panienkę, ewidentnie posiada obie te cechy.

— Odbierz — warczę, już nawet nie siłąc się na miły ton.
— To musi być coś bardzo ważnego — sarkam.

— Przepraszam — odpowiada, znów racząc mnie zakłopotaną miną, a potem po raz kolejny wygrzebuje z torebki telefon i niezwłocznie odbiera. — To nieodpowiedni moment

— mówi do słuchawki, jednocześnie zerkając na mnie. —
Posłuchaj, Anita...

Opadam na fotel i poprawiam się lekko, bo zaczynam mieć
dość zarówno tego spotkania, jak i tej dziewczyny. Pora przy-
znać, że tracę swój cenny czas. Nie wiem, dlaczego wciąż
to znoszę, czemu to sobie robię. Właściwie kiedy wcześniej
zdarzały mi się podobne sytuacje, wiedziałem, jak się zacho-
wać. A jednak tym razem jakoś nie jestem w stanie wysta-
wić jej od razu za drzwi, co byłoby moją naturalną reakcją.

— Co?! — słyszę jej podniesiony głos, więc wracam na
ziemię i wnikliwie się jej przyglądam. Sprawia wrażenie wzbu-
rzonej, mocno podenerwowanej, czym wzbudza moje zainte-
resowanie. — Nie możesz mi tego zrobić! Jeszcze nie teraz...

— Wzdycha, a potem robi wielkie oczy, odstawia telefon
od ucha i spogląda z niedowierzaniem w wyświetlacz. —
Rozłączyła się — rzuca jakby do siebie.

— Kłopoty? — pytam z satysfakcją, nad którą nie potrafię
zapanować. Już taki jestem, zwłaszcza wobec osób, które mi
podpadły. A ta dziewczyna od kwadransa nie robiła nic
innego.

— Bawi to pana? — odpyskowuje. Tym razem to moje
oczy stają się wielkości spodków. Nie mogę uwierzyć, że jest
aż tak zuchwała.

— No skądże. — Śmieję się pod nosem. — Jestem tylko
ciekawym.

Gdy zaciska usta w cienką kreskę i posyła mi mordercze
spojrzenie, mam ochotę roześmiać się jej w twarz, ale kiedy
dostrzegam w oczach dziewczyny migoczące łzy, opanowuję
się i poważnieję. Może i jestem chamem, ale z pewnością
nie jestem aż tak obojętny, zwłaszcza na kobiecie łzy.

— Uspokój się — mówię jedynie. — Napijmy się kawy i zacznijmy od nowa — proponuję, choć sam nie wierzę, że stać mnie na taki gest.

Nie odpowiada, tylko wbija wzrok we własne dłonie, którymi miętosi brzeg sukienki. Muszę przyznać, że pomimo koloru — nie znoszę go, podobnie jak samej musztardy — wygląda w niej ładnie. Kobieco.

— Maksymilian Iwański — odzywam się ponownie, kiedy wstaję zza biurka i zmierzam do niej, żeby podać jej dłoń. Właściwie od tego powinniśmy zacząć, więc uznaję, że czas to naprawić.

— Wiem, kim pan jest — burczy i spogląda na mnie spod wachlarza rzęs, które rzucają cienie na jej blade policzki.

— Zawsze jesteś taka... milutka? — pytam wprost, cofając dłoń.

— A pan taki pewny siebie? — rzuca, patrząc na mnie już trochę odważniej.

— Jestem tu szefem, więc zdarza mi się to dość często — odpowiadam jedynie. — Usiądź.

Gdy po przeciągającej się chwili namysłu wreszcie spełnia mój rozkaz, sam na powrót zajmuję miejsce we własnym fotelu. Podsuwam jej pod nos filiżankę z kawą i sięgam po swoją, z której upijam pierwszy łyk.

— Wróćmy zatem do tematu pracy — proponuję, żeby zabić tę ciszę, która pomiędzy nami na moment zapada.

— Naprawdę nie powinnam tu przychodzić — mówi wówczas, po czym wstaje.

Znowu...

Chryste, jeszcze nie miałem *przyjemności* z tak niezdecydowaną osobą!

— Zamierzasz teraz wyjść? — pytam z niedowierzaniem.

Również się podnoszę, choć ta durna zabawa zaczyna mnie nudzić. Przyznaję jednak, że patrzeć na tę dziewczynę z góry sprawia mi niezaprzeczalną przyjemność — czuję, że mam nad nią kontrolę.

— Tak, bo nie chcę dłużej się kompromitować — pada rzeczowa odpowiedź.

— Na dole nie sprawiałaś takiego wrażenia — zauważam.

— Jakiego? — pyta, mrużąc gniewnie oczy.

Zabawnie wygląda, kiedy się złości.

— Ani przed budynkiem, ani nawet przed windą nie zachowywałaś się jak tchórz.

Jej rozdziawiona buzia to zapewne objaw zaskoczenia, które wywołała w niej moja krytyka, ale ja naraz wyobraziłem sobie, jak pewna część mojego ciała ląduje właśnie w jej ustach. Dziwne. Przecież ta dziewczyna nawet nie jest w moim typie. Skąd więc ta fantazja?

— Nie boję się — odpowiada z zadartą głową, patrząc mi w oczy. — Po prostu...

— Usiądź — rozkazuję, a potem, licząc, że mnie posłucha, wracam na swoje miejsce.

Zauważam, że przez moment wyraźnie się waha, po chwili jednak siada na brzegu krzesła, jakby wciąż nie do końca przekonana, że postępuje właściwie. Zachowuje się naprawdę dziwnie, może nawet dziecinnie.

— Aplikujesz na stanowisko enologa. Znasz się na tym? — pytam wprost, po raz kolejny zresztą, licząc, że wreszcie doczekam się odpowiedzi.

— Moi rodzice mieli kiedyś winnicę. Pomagałam im w pracach, więc uważam, że znam się na tym i owym —

odpowiada. Tym razem to mnie z zaskoczenia omal nie otworzyły się usta.

Biorę do rąk jej CV i spoglądam w rubrykę, gdzie wyraźnie chwali się doświadczeniem w zawodzie winiarza.

— Tu jest napisane...

— Wiem, co tam jest napisane!

Jeszcze mi przerywa! W dodatku jej ton pozostawia wiele do życzenia.

— Już wspomniałam, koleżanka mnie namówiła, żebym to dopisała — dodaje, jakby chciała zrzucić winę na kogoś innego. Nie mieści mi się to w głowie.

— A więc mnie oszukałaś i nie jesteś wykwalifikowaną enolożką? — bardziej stwierdzam, niż pytam. I staram się przy tym zachować spokój, co staje się coraz trudniejsze.

— Tak... A właściwie nie — płacze się, a potem dorzuca pospiesznie: — Ale szybko się uczę.

— Jasne.

— Mówiłam, że to nie ma sensu — kwituje wówczas, a potem wstaje nazbyt gwałtownie, przez co się potyka.

Nawet nie próbuję jej pomóc, bo nadal znajduję się po drugiej stronie blatu. Dziewczyna łapie pion w ostatniej chwili, ale robi to tak niezgrabnie, że jedna ze stojących na biurku filiżanek się przewraca. Próbuję odskoczyć, ale na próżno, bo jej zawartość już ląduje na moich kolanach i po drodze płami także moją koszulę. Całe szczęście, że kawa nie jest już taka gorąca, bo oprócz paskudnej plamy miałbym jeszcze pamiątkę w postaci bolesnych, długogojących się bąbli.

— Przepraszam!

Nie jestem pewien, co ta niezdolna dziewczyna kombinuje tym razem, ale widząc, co narobiła, szybko do mnie doskakuje. Chce mi pomóc? Ciekawe jak.

— Upiorę to panu — zaczyna paplać, na co kręcę z niedowierzaniem głową. — Albo i nie — dorzuca po chwili, czerwieniąc się po mieszkach włosów i uciekając wzrokiem, który jeszcze przed momentem spoczywał na płamie sięgającej mojego kroczka. — Ale zwrócę panu wszelkie koszty. Przyrzekam.

Czy wciąż jestem zły na tę nierozgarniętą dziewczynę? Nie, chyba nie. Raczej już tylko nią rozczarowany. Poza tym nie chcę przed nią wyjść na snoba, ale... Cóż, nie jestem przekonany, że ją na to stać. Ten garnitur jest najnowszy w mojej kolekcji i słono za niego zapłaciłem.

— Miałaś rację — mówię jedynie znużonym głosem, a następnie wstaję z fotela i kieruję się w stronę prywatnej łazienki.

— Nie rozumiem — odpowiada niepewnie i patrzy na mnie z wyczekiwaniem.

— To nie ma sensu — rzucam tylko przez ramię, a potem znikam za drzwiami łazienki.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion 

ON JEST NAPRAWDĘ DOBRA PARTIĄ. WIELKA SZKODA, ŻE TAK TRUDNO GO POLUBIĆ

Kiedy Maja Sokołowska wyfruwa z rodzinnego gniazda w szeroki świat, nie zakłada, że trafi od razu pod skrzydła szefa dużej korporacji. Wychowana w atmosferze miłości i wzajemnej akceptacji, w rodzinie trudniącej się produkcją lokalnego wina, nie czuje się najlepiej w sterylnym świecie stołecznych wieżowców ze stali i szkła. Jednak w wyniku serii zbiegów okoliczności i dzięki wsparciu warszawskiej koleżanki Anity – która lekko podkolorowała jej CV – Maja dostaje całkiem interesującą propozycję pracy u Maksymiliana Iwańskiego.

Praca marzeń? Nie do końca. Szef Mai to wyjątkowo niesympatyczny typ. Oschły, formalny i raczej przykry w kontaktach. Szybko udowadnia nowej pracownicy, jak niewielkie jest jej doświadczenie i jak bardzo powinna być wdzięczna za to, że w ogóle ma u niego pracę. Gdy zniechęcona panna Sokołowska postanawia w końcu złożyć wypowiedzenie, prezes Iwański składa jej nietypową propozycję...

Czy to na pewno propozycja bez zobowiązań? Czy dziewczyna znajdzie sposób, by utrzymać nosa wrednemu szefowi? Jedno jest pewne: napięcie pomiędzy nimi będzie rosnąć...

Patroni medialni:



ebook dostępny na:

ebookpoint

ISBN 978-83-8322-375-9



Cena: 49,90 zł